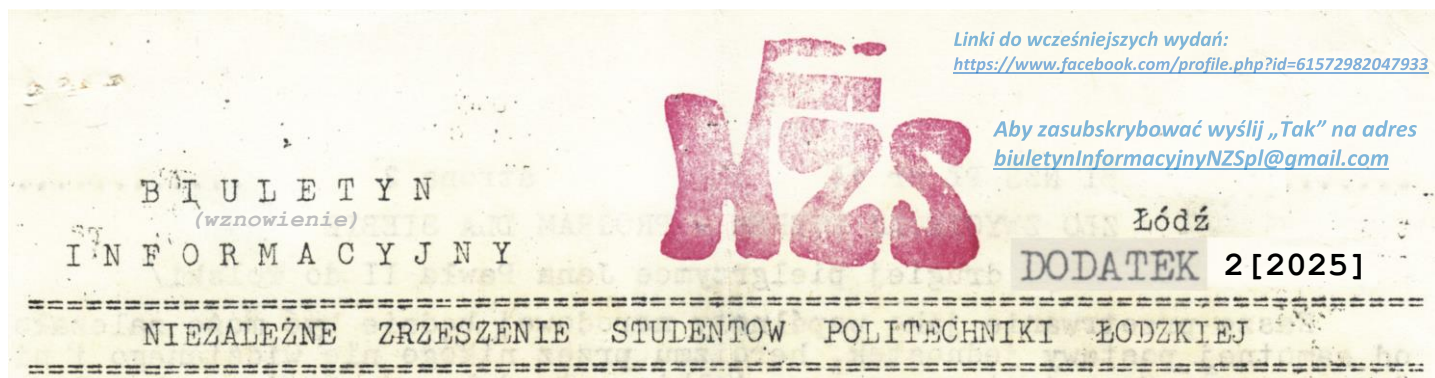
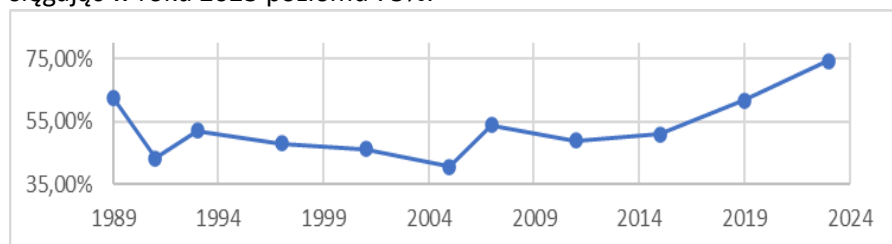




Po 37 latach wznowiliśmy BI NZS PŁ. Nie jesteśmy powiązani z obecnym NZS, ale uczestniczyliśmy w wydawaniu I serii Biuletynu (1985-87). Wznawiamy, bo widzimy narastające podobieństwo do PRLu. Oczywiście przeważają różnice, jednak warto uświadomić sobie, jak wiele z tego, co miało nigdy nie wrócić – powróciło.

W „Dodatkach” zapraszamy do refleksji **trochę** dłuższej, nad zagadnieniami bardziej uniwersalnymi, oderwanymi od bieżącej polityki. Dziś o frekwencji wyborczej, która przez niemal 30 lat III RP oscylowała poniżej 50%, a potem wystrzeliła, sięgając w roku 2023 poziomu 75%.



Frekwencja w wyborach parlamentarnych.

Źródło:

https://pl.wikipedia.org/wiki/Frekwencja_wyborcza

Inżyniera rozważania medyczne o frekwencji wyborczej.

Objawy kliniczne.

Objawy są nietypowe: z frekwencją wyborczą w III RP było źle przez niemal 30 lat, a od roku 2019 jest, jeśli nie znakomicie, to co najmniej dobrze. Czyżby kampanie profrekwencyjne osiągnęły sukces? Przez ćwierć wieku media bombardowały nas hasłami typu „Idź na wybory”, krótkimi wypowiedziami „Uważam, że to obywatelski obowiązek”, rozbudowanymi komentarzami i wreszcie długimi dyskusjami, których uczestnicy zastanawiali się, jak nakłonić obywateli do udziału w czymś, „o co przez długie lata Polacy walczyli”. Działania te były emanacją przekonania, że wysoka frekwencja nie tylko stanowi pewną wartość pozytywną, ale nawet może stanowić cel, do którego należy dążyć. Dogmat pozytywnego znaczenia wysokiej frekwencji jest głęboko zakorzeniony, nie tylko w Polsce. Do tego stopnia, że onegdaj pewien kongresmen w USA¹ proponował loterię, w której główną wygraną miał być 1 milion \$, losowany spośród tych obywateli, którzy wezmą w wyborach udział. Dogmat ten przemilcza wysoką frekwencję w czasach PRLu (nawet uwzględniając fałszerstwa była wyższa, niż w III RP), czy w Sowietach oraz to, że frekwencja w kraju uważanym za kolebkę demokracji, USA, jest na poziomie podobnym do naszego. To zasadnicza konstatacja dotycząca objawu: frekwencja jest wynikiem wielu czynników. Nie tylko poziomu zaangażowania społeczeństwa w sprawy kraju, ale także np. przymusu, lęku, czystych emocji, czy kampanii profrekwencyjnych, a z drugiej strony utrudnień w realizacji prawa do głosowania, czy przekonania (zasadnego lub nie) o niewielkim znaczeniu wyborów, a ściślej: o niewielkim związku tego, kto rządzi z tym, jak działa gospodarka, jakie jest bezrobocie, poziom inflacji, zarobków itd. Gdyby frekwencja zależała wyłącznie (lub chociaż głównie) od poziomu zaangażowania, to byłby to niezły miernik jakości demokracji. Dla człowieka zajętego swoimi własnymi sprawami, nieuczestniczącego w życiu publicznym, prostaka, starożytni Grecy mieli specjalne określenie: *idiōte*. Gdyby więc frekwencja była pochodną tylko liczby idiotów w społeczeństwie, to faktycznie istniałaby wygodna zależność: im wyższa frekwencja, tym lepiej, bo idiotów mniej. Ale frekwencja jest wypadkową wielu czynników, przy czym jest wprost zabawne, że uczestnicy profrekwencyjnych kampanii nie dostrzegali, że sami dokładali czynnik, który fałszował miernik. Nie zauważali, że gdy *idiōte* weźmie udział w wyborach, to nie przestanie być *idiōte*, mimo że frekwencja wzrośnie. Stosowali kurację, polegającą na schłodzeniu termometru lekarskiego, który wykazywał, że pacjent jest chory.

W latach poprzedzających rok 2019 (w którym frekwencja wzrosła) kampanie profrekwencyjne zmieniły się. Nie kierowano ich już do wszystkich, a ignorowane przez *idiōtes* hasło „idź na wybory, bo to obywatelski obowiązek i to dobre dla Polski” zastąpiono hasłem „idź na wybory, żeby uprawiać seks z PiSem”, co najdobitniej wyraził znany aktor².

¹ Oczywiście z Partii Demokratycznej.

² <https://youtu.be/NqWavZocMmk?t=37s>

Budowanie wspólnoty na nienawiści (wobec kogokolwiek) jest znacznie skuteczniejsze, niż na poczuciu obowiązku, a że zaatakowani nie pozostali dłużni, nadając do znudzenia swoje „Für Deutschland”³, frekwencja wystrzeliła do niespotykanego poziomu. Bo strony zaczęły kierować kampanie do swoich „baniek informacyjnych” dbając o to, by emocje przykleiły do własnej „bańki” jak najwięcej tych, u których poziom analizy spraw kraju pozostał niski, ale którym wybory zaczęły służyć do dawania upustu emocjom. Najjaskrawszym przejawem tych emocji był wynik referendum, towarzyszącego wyborom w 2023r. Na pytanie „Czy chcesz, aby nikt nie mógł ci podnieść wieku emerytalnego?”, wielu wyborców nie odpowiedziało „tak” ani „nie”. Odmawiając przyjęcia karty referendalnej odpowiedzieli „***** **!!!”⁴, mimo że wysiłek żaden, bo do lokalu już przyszli⁵. Tłumaczenia, że „pytania ubliżały inteligencji”, że „referendum służyło poprawieniu wyniku PiS” są nieistotne, bo **praktyczny efekt** nieważności referendum jest jeden: można podnieść wiek emerytalny (czy podniosą, dowiemy się po wyborach). *Na złość tacie odmrozę sobie uszy* to czyste emocje, które od 5-10 lat nakręcają frekwencję. Frekwencja wzrosła, czyli sukces – czy jednak o taki sukces chodziło?

Diagnoza.

Gdy ojcowie-założyciele USA projektowali ustrój nowego państwa, powszechne prawo wyborcze nie było oczywiste, a mieli na uwadze pomijaną dziś przesłankę, że wybory nie są celem samym w sobie, a jedynie środkiem do osiągnięcia celu. Celem jest wyłonienie optymalnego rządu, który będzie działał zgodnie z interesem państwa i jego obywateli – czyli takiego rządu, który dobrze ten interes zdefiniuje, a następnie zrealizuje. Dlaczego zatem, mając taki cel, przyznali prawo wyborcze wszystkim (także *idiōtes*), zamiast wprowadzić jakiś filtr, np. cenzus majątkowy czy wykształcenia, ograniczający wpływ *idiōtes* na losy państwa? Wygrała matematyka: statystycznie głosy *idiōtes*, czyli ludzi nie interesujących się sprawami państwa, powinny rozłożyć się równomiernie na wszystkie opcje i nie powinny wpłynąć na werdykt tych, którzy *idiōtes* nie są. Bardzo szybko okazało się, że ten statystyczny mechanizm nie zadziałał, ale powstał inny, który miał równie pozytywne skutki. Otóż ludzie o uznanym lokalnie autorytecie, szanowani w swoich środowiskach, przekonywali „swoich *idiōtes*” do głosowania na tego kandydata, który wydawał im się lepszy. Zatem wynik zależał nie tylko od głosów osób interesujących się sprawami państwa, ale także od ich wpływów i siły przekonywania. Zadziałało więc nieco inaczej, niż miało zadziałać, ale efekt końcowy był pozytywny, bo wprawdzie do wygrania wyborów trzeba było zgromadzić i przekonać ludzi nie tyle mądrych, co dysponujących talentami organizacyjnymi i zdolnościami przywódczymi, ale tak się składa, że statystycznie są oni nieco mądrzejsi od pozostałych, a przede wszystkim bardziej zainteresowani losami kraju.

Przez wiele lat mechanizm ten działał poprawnie, aż w XX wieku nadeszła era radia, potem telewizji, a wreszcie Internetu. I mechanizm zawalił się: kandydaci przestali zwracać się do liderów, którzy zapewniali im głosy tych *idiōtes*, na których mieli wpływ, a zaczęli zwracać się bezpośrednio do *idiōtes*. A dla *idiōte* – wiadomo – mało ważne jest to, co mówi kandydat, ważniejsze jest jak mówi, jak się ubiera, czy się uśmiecha. Ocenia kandydatów przez pryzmat kryteriów właściwych w konkursach piękności. Zatem kandydaci starają dobrze wyglądać, dużo uśmiechać i to jeszcze samo w sobie nie jest tragiczne, bo wprawdzie eliminuje ludzi brzydkich (a właściwie „niemedialnych”), ale wśród tych ładnych na pewno mądrych i uczciwych nie brakuje. Więc może mechanizm jest niesprawiedliwy, eliminując niemedialnych tytanów intelektu, ale nie ma powodu do rozpacz, bo efekt końcowy jest dalej pozytywny? Niestety – powód do rozpacz jest. Bo kandydaci nie tylko muszą medialnie wyglądać, ale dodatkowo muszą prowadzić debaty plastikowym językiem sloganów, bo tylko taki język *idiōte* jest w stanie przyswoić. Nie jest ważny program, nie są ważne rzeczywiste intencje i przesłanki, jakie stoją za planowanymi przez kandydatów działaniami, bo ich wytłumaczenie jest zbyt skomplikowane, by trafiło do przeciętnego *idiōte*. I to jest krytyczny element diagnozy: przestał działać mechanizm, który rozkładał głosy *idiōtes* tak, że rezultat był generalnie pozytywny. Głosy *idiōtes* zaczęły się rozkładać według tego, który kandydat ma większe zdolności w dopasowywaniu się do ich języka – czyli jest lepszym demagogiem, bo na takie działanie Grecy, jako specjaliści od demokracji bezpośredniej, też mieli specjalne określenie, wywodzące się od słów *demos* (lud) i *agogos* (prowadzący).

Diagnostując pacjenta trzeba zauważyć, że *idiōte* może być *idiōte* z różnych przyczyn i nie musi być idiotą (choć przeważnie jest). Oczywiście jest, że im człowiek głupszy, tym więcej wysiłku musi włożyć w analizę mechanizmów rządzących polityką, a jeśli nie ma naturalnych inklinacji do takiej pracy, to woli bezmyślnie powtarzać slogany prosto – by nie rzec prostacko – tłumaczące sprawy państwa. Stąd właśnie „paski” na ekranach telewizorów: do synaps przykleja się hasło, a *idiōte* nie wnika, czy jest prawdziwe, a nawet co oznacza, bo „paski” przyklejają emocje, a nie

³ <https://www.youtube.com/watch?v=QYfn1To3S0g&t=57s>

⁴ Dziś wiadomo, ale dla potomnych 😊: pierwsze 5* symbolizuje wulgarny, pięcioliterowy tryb rozkazujący uprawiania seksu, a kolejne 3* to PiS.

⁵ Nie dotyczy to niezainteresowanych wiekiem emerytalnym, czyli np. emerytów.

fakty. Ta przyczyna, związana ze współczesnym znaczeniem słowa „idiota”, też ma swoje oddziaływanie, ale nie jest jedyna. Sprawy wykraczające poza „moją chatę z kraja” mogą nie budzić zainteresowania także ze względu na przekonanie o bezalternatywności bieżącego modelu funkcjonowania państwa⁶, mogą też być inne przyczyny. Niezależnie jednak od przyczyn zreasumujmy, posługując się analogią medyczną, w którym miejscu diagnozy jesteśmy:

Przyczyna	infekcja bakteryjna	infekcja <i>idiōtes</i>
objawy	wysoka temperatura, osłabienie, kaszel	niska frekwencja w wyborach, głupi rząd
działanie absurdałne	chłodzenie termometru	zwiększanie frekwencji
leczenie przyczynowe	ograniczenie liczby bakterii w organizmie	ograniczenie liczby <i>idiōtes</i> w Państwie
leczenie objawowe	łagodzenie kaszlu, obniżenie temperatury - łagodzenie wpływu infekcji na stan pacjenta	?

Leczenie.

Jak zatem nie dopuścić do ochlokracji, a właściwie – jak się z niej wyleczyć? Najważniejsze leczenie, przyczynowe, jest procesem długotrwałym i skomplikowanym. Bo tak, jak w chorobie leczenie polega na ograniczeniu liczby bakterii w organizmie, tak tu leczenie polega na ograniczeniu liczby *idiōtes* w społeczeństwie. Jedyną metodą jest tu edukacja, przy czym nie chodzi tylko o edukację szkolną, ale także o przekonanie obywateli, że te wybory mają na coś wpływ, że „jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”, co wymusza zainteresowanie sprawami Państwa. Zainteresowanie znacznie wykraczające poza przyswajanie pasków TVN czy TVRepublika (zależnie od bańki), ale także wymuszające weryfikację haseł z tych pasków przez sięganie do źródeł lub do informacji we wrogiej bańce medialnej. To bolesne, bo prowadzi do dysonansu poznawczego i uzmysławia, że „tamci” też mają jakieś racje, a „moi” też kłamią i manipulują.

Zatem edukacja przez doświadczenie: wybieram dobrze – to mam dobrze, a wybieram źle – to mam źle. Wydaje się to oczywiste, jednak narastające emocje utrudniają nawet takie skojarzenie. Nienawiść wobec drugiej grupy wyborców powoduje, że ewidentne klęski tych, na których głosujemy, przypisujemy tzw. „czynnikiem obiektywnym”⁷, rezygnując (z lenistwa lub „na wszelki wypadek”, by uniknąć dysonansu poznawczego) ze sprawdzenia, czy te „czynniki” naprawdę wystąpiły. Ponieważ więc nawet tak banalny mechanizm wymaga wysiłku, pojawiają się pomysły instytucjonalnej eliminacji „złych” rozwiązań. Jednak sztuczna eliminacja wyboru złych rozwiązań („obiektywnie” złych – założmy, że „nasza” bańka ma obiektywnie rację) po pierwsze uczy nieodpowiedzialności („po wyeliminowaniu wroga, jakkolwiek (nie) zagłosuję – jakoś to będzie”), a po drugie likwiduje istotę demokracji, bo trzeba ustanowić kogoś, komu przyznamy prawo oceny, które partie są „dobre”, a które „złe”. To ważne: demokracja dopuszcza wybór Hitlera. Oczywiście, gdy się go wybierze, to się demokracja kończy, ale jak go wybrać nie można – to demokracji już nie ma. Bo niby wszyscy wiedzą, że „*Demokracja to fatalny system, ale niczego lepszego nie wymyślono*”⁸, jednak początek sentencji, w którym mieści się m.in. dopuszczenie wyborów, które uważamy za złe i tolerowanie skutków takich wyborów, jest powszechnie ignorowany.

Edukacja szkolna i przez doświadczenie – to leczenie przyczyn. Długotrwałe, skomplikowane i trudne, polegające na zmniejszaniu odsetka *idiōtes* w społeczeństwie. Możliwe jest jednak jednocześnie leczenie objawowe, polegające na łagodzeniu skutków infekcji, czyli ograniczaniu wpływu *idiōtes* na wynik wyborów. Odrzućmy na wstępie rozwiązania niedemokratyczne, wprowadzające cenzus majątkowy lub wyższego wykształcenia lub jakkolwiek inny dla czynnego prawa wyborczego. Takie rozwiązania zawsze rodzą patologie znacznie gorsze od tego zła, któremu mają zapobiegać, o czym mówi właśnie wytarty slogan Churchilla. Co zatem należy zrobić, by ograniczyć wpływ *idiōtes* na wynik wyborów? Pierwszy pomysł to inwersja pomysłu amerykańskiego kongresmena: promować bojkot wyborów przez wprowadzenie loterii ze znaczną wygraną (np. 1 mln zł), której zwycięzca zostanie wylosowany spośród osób, które w wyborach nie wezmą udziału. Przewidywany efekt *idoloterii* byłby taki, że do wyborów poszliby tylko ci obywatele, dla których sprawy państwa są ważniejsze, niż udział w atrakcyjnej loterii, a wydaje się, że tacy obywatele są bardziej zainteresowani sprawami państwa. Mogą się mylić i popełniać błędy, ale statystycznie będą przynajmniej

⁶ Tak było do ~2015 roku: kto by wyborów nie wygrał, realizowano doktrynę Balcerowicza (nie oceniamy tu, czy jest słuszna).

⁷ W „Życiu seksualnym dzikich” Bronisław Malinowski opisał plemię, które nie знаło związku przyczynowo - skutkowego między aktem seksualnym, a rodzeniem dzieci, uważając że to pierwsze to przyjemność, a to drugie się zdarza co jakiś czas, bo tak. Podobne podejście można zaobserwować u wielu wyborców, tłumaczących każdy stan gospodarki ogólną koniunkturą i niewiążących tego stanu z tym, kogo wybrali. Co sprytniejsi dodają „to wina poprzedników, po których trzeba długo sprzątać”.

⁸ Winston Churchill

posiadali elementarną wiedzę (lub emocje), bo żeby poświęcić coś istotnego dla udziału w wyborach, trzeba się tym, co z tych wyborów może wynikać, interesować. To, oczywiście, pomysł humorystyczny, nikt nie zdecyduje się na takie rozwiązanie. Warto je jednak zasygnalizować, gdyż jego istotą jest zniechęcenie *idiōtes* do udziału w wyborach. Ściślej: zniechęcenie wszystkich (sam bym chętnie wylosował), ale u *idiōte* nie występuje kontrmechanizm, niwelujący wpływ tego zniechęcania. Wprawdzie więc *idiotek* jest pomysłem z kosmosu, to jednak warto rozważyć inne, podobnie działające, mechanizmy. Otóż – co ciekawe – rozwiązania takie istnieją i są stosowane w świecie, choć prawdopodobnie nie zostały wprowadzone w omawianym celu, a wytworzyły się przypadkiem. We wspomnianym USA do udziału w wyborach konieczna jest rejestracja wyborcy. Wyborca musi więc odbyć dwie wycieczki: pierwszą rejestrującą, żeby zostać wpisanym do spisu wyborców (tam nie ma systemu PESEL) i drugą, dla oddania głosu – to uciążliwość pierwsza, ale nie ostatnia. Otóż Amerykanie, którzy zgłoszą się do państwowego rejestru wyborców mogą się potem spodziewać, że Państwo zwróci się do nich o pewne, przewidziane prawem, uciążliwe świadczenia obywatelskie, jak np. udział w ławie przysięgłych, co wiąże się z kilkudniowym zaburzeniem codziennego rytmu życia – takie jest przynajmniej powszechne przekonanie. (Należy zaznaczyć, że uchylanie się od zaszczytnego obowiązku ławnika, jest karalne.) Mechanizm ten wytworzył się, gdy nie było możliwości tworzenia rejestrów obywateli, jednak po rozregulowaniu pierwotnego mechanizmu, w którym pozyskiwano głosy *idiōtes* za pośrednictwem liderów, a nie w bezpośrednim kontakcie przez media, pozostał mechanizmem immunologicznym, ograniczającym wpływ *idiōtes* na losy Państwa.

Tak więc leczenie – poza edukacją – mogłoby polegać na wprowadzeniu konieczności zarejestrowania wyborcy, zanim weźmie on w wyborach udział. Dodatkowo wskazane byłoby wykorzystanie list wyborców do typowania obywateli kierowanych do realizacji zaszczytnych, a uciążliwych obowiązków. Amerykańska tradycja uczestniczenia w ławie przysięgłych jest nie do zrealizowania. Wydaje się jednak możliwe np. obciążenie obywateli uczestniczących w wyborach udziałem w komisjach wyborczych na szczeblu podstawowym, przy jednoczesnej rezygnacji z diet. Oczywiście niemożliwy jest tu jakikolwiek automatyzm, bo istnieją przyczyny obiektywne (np. niepełnosprawność, wyjazd służbowy), więc konieczne byłoby przygotowanie procedury odwoławczej od obowiązku udziału w pracach komisji wyborczej⁹, nakładanego w wyniku losowania spośród chętnych wyborców. Jednocześnie jednak takie losowanie pozwalałoby na istotne zwiększenie liczebności każdej komisji, co zmniejszyłoby uciążliwość (krótsze „zmiany”) i zmniejszyło zagrożenie fałszerstwami (więcej osób patrzy sobie na ręce), bez podnoszenia kosztów. Dodatkowo godnym rozważenia utrudnieniem jest – stosowane w wielu krajach – przeniesienie wyborów z dnia wolnego na dzień roboczy. No i przede wszystkim zapomnieć należy o ułatwieniach typu „głosowanie przez Internet” których propagatorzy dążą (świadomie lub nie) do tego, by zmaksymalizować liczbę *idiōtes* uczestniczących w wyborach. Bo apel „idź na wybory” ma tym większą szansę przekonać *idiōte*, im mniej wysiłku będzie go to kosztowało. Apel sensowny, typu „interesuj się polityką, czytaj więcej, niż tylko tytuły, sprawdzaj w kilku źródłach to, co przeczytasz, dyskutuj z ludźmi, którzy się z tobą nie zgadzają, zamiast potwierdzać przekonanie o własnej wyższości nad przeciwnikami w gronie znajomych o poglądach podobnych – wtedy sam będziesz chciał iść na wybory” żadnego *idiōte* nie przekona, wymagając od niego wysiłku i poświęcenia czasu, czyli tego, by przestał być *idiōtes*. Podobnie, jak apel „idioto, pamiętaj – nie przestaniesz być idiotą, gdy pójdziesz na wybory, a Polsce możesz zaszkodzić, więc na wybory lepiej nie idź”.

Zauważmy na koniec, że na biegunie przeciwnym do słowa *idiōtes* jest słowo *politike*, wywodzące się z greckiego *polis* i oznaczające sztukę rządzenia miastem–państwem. Polityka jest sztuką rządzenia państwem i braniem udziału w sprawach państwa. Dlatego właśnie ulubioną teorią idiotów jest „pańszwinizm polityczny”, który pozwala własny brak zaangażowania w politykę tłumaczyć tym, że polityka to świństwo, politycy to świny i „ja tam, panie, nie będę się tym zajmował”. Dlatego też wdrożenie mechanizmu rejestracji wyborców wydaje się nie tylko słuszne (słuszny byłby także *idiotek*), ale również realnie możliwe, bo wstępna rejestracja wyborców daje się uzasadnić w prawdziwy, a nieco bardziej medialny sposób: pozwala zlikwidować obowiązek meldunkowy. Bez obowiązku meldunkowego bardzo utrudnione jest przygotowywanie list wyborców na podstawie PESELa, a to do *idiōtes* trafi znacznie bardziej, niż powiedzenie im wprost, żeby nie chodzili na wybory. Bo to, czego idiota najbardziej nie lubi, to dowiedzieć się, że – w przeciwieństwie do polityków – jest idiotą. I dotyczy to w równym stopniu idiotów niewykształconych z małych ośrodków, co idiotów z wyższym wykształceniem, a nawet profesorskimi tytułami, zamieszkujących duże aglomeracje. Tych drugich chyba nawet bardziej, bo kłuje to ich *urwyz*^{© Rafał Ziemiakiewicz}, czyli „urojenie **wyższościowe**” ludzi uważających się za klasę średnią lub elitę.

⁹ Taki mechanizm odwoławczy dla ławników istnieje w USA.